

Helena Zaworska

Nam idzie o życie H. Zaworska



Prezentowane tu rozmowy z pisarzami prowadziłam w okresie od października 1987 do czerwca 1989. Były to dzienne rodaków rozmowy, dotyczyły nie tylko literatury, ale całości postaw wobec naszego trudnego, ale pasjonującego życia. Pisarze, z którymi rozmawiałam, traktują literaturę jako poszukiwanie sensu, jako wybór wartości, jako świadectwo własnego istnienia oraz świadectwo epoki.

Helena Zaworska

ISBN 83-214-0764-1

B.M.: Wątpię jednak, czy na tym moje pisarstwo by zyskało. Zmiana kąta widzenia, zdjęcie pewnej osłony — czy obraz od tego byłby ostrzejszy albo światło pełniejsze? Chyba nie. Byłoby to tylko o jedną warstwę ciemniejsze, bardziej zagmatwane. A ja przecież jestem w tym, co piszę. Jest moje oko, mój słuch, mój sposób destylowania — to wystarczy.

Listopad 1987

Codziennie polskie udręki

Rozmowa

z Tadeuszem Siejakiem

Helena Zaworska:

Jest pan inżynierem, pracuje pan na budowie, zna pan codzienne polskie udręki. A skąd wzięło się pisanie?

Tadeusz Siejak:

Z życia, z budowy, z udręk i radości. Kiedy nająłem się do pracy w firmie, którą buduję, dostałem się do laboratorium życia, to było i jest świetne miejsce: małe środowisko, w którym wszystkie procesy społeczne są widoczne tak wyraźnie, jak w okienku pod mikroskopem. Mogę tam obserwować siebie, ludzi, różne grupy, motywacje, działania, postawy. Z tych doświadczeń zacząłem powoli budować swoją własną filozofię życiową.

H.Z.: Ile pan miał lat, kiedy zaczął pan pracować w Chodzieży?

T.S.: Trzydzieści. Dostyc późno się rozwinąłem, jestem jak jabłko gatunku jesiennego. Długo i nużąco chorowałem, wyzdrowiałem jakby nieoczekiwanie, na przekór medycynie. Może za to moja krzywa będzie się dłużej wznosić? Wie pani, chociaż kończyłem studia techniczne, zawsze bardzo interesowałem się filozofią. Przez siedem lat pracy w ZIK-u nie tylko budowałem, ale i składałem myśl do myśli, przypuszczenie do przypuszczenia, próbowałem wyrobić sobie jakiś pogląd na życie. Nie tak dawno, chyba w zeszłym roku przeczytałem te swoje pomysły w książce — była to filozofia Teilharda de Chardin. Byłem dumny z tego, że na własną rękę wymyśliłem coś tak bliskiego jego

poglądom. I trzymam się ich, powtarzam je w rozmowach z przyjaciółmi, także na wieczorach autorskich. Ludzie nieraz śmieją się lub uśmiechają z politowaniem, gdy mówię o zjednoczeniu świata, o rozwoju ludzkości, poczuciu wspólnoty, wolności itd. Moje pozytywne wnioski mogą wydawać się naiwne, ale one wywodzą się przecież bezpośrednio z filozofii chrześcijańskiej. To, co Chrystus mówił o miłości bliźniego, jest jedynym skutecznym sposobem regulowania stosunków pomiędzy ludźmi.

H.Z.: Skutecznym? Pan uważa, że miłość bliźniego to nie jest wzniosła fikcja?

T.S.: Nie, wcale nie. Tylko muszę dodać: chrześcijaństwo nie jest dla mnie systemem na dziś, na wczoraj, skończonym. Chrześcijaństwo jest kierunkiem, pokazuje, dokąd należy iść. Krok po kroku, stopniowo. Miłość bliźniego realizuje się coraz wyraźniej, na przykład w stosunku wielu ludzi do służby wojskowej. Wybierają pracę w kopalni, gdzie mogą zginąć, pracują w szpitalach jako posługacze, bo nie chcą uczyć się zabijania. W naszej mitologii narodowej, apoteozującej walkę wojenną — takie przesunięcie wartości jest czymś niebywałym.

H.Z.: Przecież pacyfizm ma długą, siwą brodę, całkowicie wytartą.

T.S.: Nigdy nie narastał tak szybko, jak obecnie i nie obejmował tylu ludzi. A jest to proces na setki lat, trzeba patrzeć z perspektywy bardzo rozległej.

H.Z.: Myśli pan, że rozwój ludzkości idzie w kierunku antywojennym i antywojskowym? Wierzy pan w tę rajską ułudę?

T.S.: Tak. To nie jest kwestia wiary, ja to wiem, widzę, obserwuję. To posuwa się powoli, wciąż zdarzają się obsunięcia w dół, linia jest zygzakiem, jednak się wznosi.

H.Z.: A co w tej wizji ludzkości i historii pan ma do zrobienia?

T.S.: Do zrobienia: danie przyszłości trójce moich dzieci, wychowanie ich w tym właśnie duchu, o którym mówię. To niedługo będzie konkret-

nym problemem, syn ma dziesięć lat, jeszcze trochę i czeka go wojsko. Do zrobienia: napisanie powieści mojego życia *Tam dołem płynie rzeka*. Poza tym chcę skończyć budowę ZIK-u i wtedy stanę przed wyborem: albo rzucić pracę i tylko pisać (co jest raczej nie dla mnie), albo trwać dalej i łączyć pracę z pisaniem. Więc cztery zadania: dom, praca, pisanie, kulturystyka. Bo zajmuję się też kulturystyką. Ona uratowała mnie w swoim czasie i jest jednym ze sposobów życia. Mam czterdziestoosobowy klub w Chodzieży, to świetna młodzież, oni nie chcą żyć byle jak, szukają wartości, sensu.

H.Z.: Więc pan wie, co ma zrobić w życiu. A my, tu i teraz?

T.S.: Trzeba znaleźć swoje poczucie tworzenia, bez tego żyć się nie da. Nie chodzi mi o sztukę, tzn. nie tylko o sztukę. Każde zajęcie człowieka może być twórcze.

H.Z.: Ba, wystarczy rozejrzeć się naokoło, żeby zwątpić w nasz twórczy stosunek do czegokolwiek. Pracujemy źle, nie znosimy bliźniego swego, zamiast go kochać. Jaką widzi pan szansę, żeby od tego się odbić? Jeśli źle zrealizowany socjalizm zrobił z nas ludzi nie twórczych, czemu religia, która niby rozkwita tu tak wspaniale, nie ma siły oddziaływania i nic a nic nie przerabia nas w aniołów?

T.S.: Jedyne sposoby oddziaływania religii to słowo i przykład. Przerabianie musi więc trwać. Ale — przerabiamy się. My — sami. A jeśli chodzi o twórczą pracę, cała nasza sytuacja ją utrudnia, pełno jest ograniczeń zewnętrznych i wewnętrznych. Mogę sypać przykładami, zresztą daję je uproszczone w moich książkach. Ludzie zniechęcają się, rezygnują, obojętnieją — oczywiście nie wszyscy, wielu. W organizacji pracy pełno jest absurdów. Jednak jakieś poczucie wspólnoty nas trzyma. Nie umiem tego określić, ale czuję wyraźnie. Tu jest inaczej — nie tylko w złym, ale i w dobrym sensie. Byłem na przykład w Grecji i żeby zarobić na pobyt, pracowałem w winnicy. Ludzie są tam dla siebie miłsi (za to dla nas nie bardzo), praca sprawna, a mimo wszystko wracałem z ulgą, bo wisi w powietrzu coś, co sprawia, że tu się lepiej czuje.

H.Z.: Obraz tego, jak ludzie u nas żyją, jak pracują i nie pracują, jest w pana książkach prawdziwy, przejmujący. Rzadko w naszej współczesnej prozie zdarza się aż takie rozeznanie w tym, jak jest. Ale chcę pana zapytać: dla czego tak jest?

T.S.: To bardzo trudne pytanie. Mógłbym, oczywiście, szukać przyczyn zewnętrznych i całkowicie niezależnych od nas. Pewnie takie są też. Istnieją jednak przyczyny tkwiące w nas samych, w naszej naturze. Cały dotychczasowy mechanizm społecznej produkcji sterowany był tą stroną naszej natury, którą nazwalibyśmy najogólniej egoizmem, a uczeni polscy i inni nazywają grą sił ekonomicznych. Świat w swoim rozwoju poprzez czas zdąża ze stanu sterowania egoizmem do stanu sterowania szlachetniejszego — tą częścią naszej natury, którą najogólniej nazywamy altruizmem. To proces ciągły i, zdaje się, nieodwracalny, umożliwiony rozwojem techniki i uniezależnieniem, coraz większym, od egoistycznych uwarunkowań biologii. Część świata, niektórzy mówią, że ta lepsza, ale ja tego taki pewien nie jestem, nadal pozostaje przy sterowaniu „starego typu”. Inna część, niektórzy mówią, że gorsza, czego znowu nie jestem pewien, podlega nagłemu, wprowadzonemu z dnia na dzień, dekretowi o sterowaniu ową altruistyczną stroną naszej natury. Może trochę za wcześnie? Ludzkość naturalnym swoim biegiem zdąża do wspólnoty i altruizmu. I chrześcijaństwo, i komunizm do niej dążą. Ale może nasz średni poziom moralny jest jeszcze za niski na takie dekretowanie?

H.Z.: Poziom moralny ludzi zawsze był nie najlepszy.

T.S.: Biorąc średnią, ten poziom rośnie. Jestem tego pewien.

H.Z.: Rośnie — po faszyzmie? Rośnie — w stosunku do starożytnych Rzymian?

T.S.: Naturalnie. Choćby uświadomienie sobie zbrodniczości niewolnictwa — to przecież skok w górę.

H.Z.: Musi pan jednak przyznać, że obecnie ta moralna wspólnota jakoś się nam nie udaje.

T.S.: Jeszcze nie. Ale mówię — jeszcze.

H.Z.: Skoro ludzkość nie dorosła do owej wolnej, twórczej wspólnoty, to jak ma się realizować obecnie?

T.S.: Z konstrukcji wewnętrznej pozostaję urodzonym wspólnotowcem. Dlatego jestem chrześcijaninem. Przy tym — nie wrogiem komunizmu jako idei społecznej. Przez czterdzieści lat ludzie tutaj przekonali się jednak, że poza wszystkimi błędami i nieporozumieniami są w tej idei również i dobre strony. Często nie zdajemy sobie z tego sprawy wprost. Może jednak z tego przedwczesnego zadekretowania, poza wszystkimi oczywistymi szkodami, pozostaną jakieś korzyści? Bałbym się precyzować to, co można nazwać jedynie odczuciem, impresją, ale pewnie żadne nasze doświadczenie nie przechodzi bez, również, pozytywnych śladów. W tym moja nadzieja, że ostatnie czterdziestolecie na naszej ziemi nie zostało zmarnowane do końca, bez tej nadziei zostaje tylko dezercja. Może za tysiąc lat spojrzymy na siebie inaczej niż dziś...

H.Z.: To ładna perspektywa — dla praprawnuków.

T.S.: Tylko tak da się patrzeć na te sprawy, przemiany świadomości ludzkiej trwają bardzo długo. Na Zachodzie bogactwo jest wynikiem pracy pod bardzo ścisłymi rygorami ekonomicznymi, pod kątem rywalizujących interesów. Praca i wolność we wspólnocie powinny mieć inny charakter. Komunizm zaproponował coś szlachetniejszego, ale ponieważ w praktyce tak to nie wychodzi, boję się, że zrażeni, wylejemy dziecko z kąpielą. Chodziłoby zaś o to, żeby nie wracać do starego świata i wycofać się tylko o tyle, o ile jest to konieczne, nie wytrącając tego, co z owej nowej świadomości wspólnotowej tu powstało. Mówię to wszystko niezdarnie, próbuję formułować własne, Siejakowe zdanie.

H.Z.: Poczucie wspólnoty zostało u nas zbudowane? Czy nie jest to głównie wspólnota w nieszczęściu? Czy ona nie polega przede wszystkim na oporze, negacji, często jałowej?

T.S.: Ludzie sobie nawet nie zdają sprawy, jak bardzo są tutejsi. Dopiero wyjazd i powrót to uświadamiają.

H.Z.: Owszem, znam ludzi, którzy z konfrontacji z Zachodem wynoszą takie owoce. Ale przecież olbrzymia większość wychodzi przekonana, że najważniejsze są tamtejsze dobra materialne.

T.S.: Wielu zachwyca tam jedno: mieć, mieć i jeszcze raz mieć. Tylko to, samochody, magnetofony, kasety wideo, uczciwszy pani uszy: pierdoły. Uprzejmniają one życie, ale przecież nie są celem i sensem.

H.Z.: No dobrze, ale co jest celem? Jeśli nie konsumpcja, „wielkie żarcie” w różnych znaczeniach, kariera zawodowo-finansowa — to co? Są ludzie, którzy za tym nie gonią, ale nie widzą też innego celu.

T.S.: Myślę, że jeśli nie zrewidujemy naszej dziewiętnastowiecznej pychy „naukowej”, która wciąż jeszcze wyznacza główny kierunek myślenia, i jeśli nie zrozumiemy siebie i świata nieco bardziej „religijnie”, to niemożliwe będzie znalezienie celu. Ludzkość bez celu to ludzkość skończona, mimo wszelkich prób jej „usensownienia”... W wymiarze zaś tutejszym, materialnym? Największą potrzebą każdego człowieka jest potrzeba tworzenia, uczestnictwa w tworzeniu. Jeśli tę potrzebę się niszczy w wymiarze społecznym, zamiast ją zaspokajać, to katastrofa. Buduje się w ludziach stan bezcelowości i bezsensu życia już nawet nie w wymiarze filozoficznym, a biologicznym.

H.Z.: Z różnych powodów osobowości bywają rozdwojone, rozdarte. *Pustynia* jest obrazem takich osobowości, indywidualnych i zbiorowych. Niemal wszyscy bohaterowie są kilkuosobowi, zmieniają skóry, poglądy, zachowania. Skoro rozwój osobowości jest tak rozdarty na różne wersje, pytam: czy to wszystko jednak w całość się składa?

T.S.: W odniesieniu do mnie samego mogę odpowiedzieć: tak. Moja osobowość i światopogląd zbliżają się do pewnej całości, mam takie poczucie w tej chwili. Może to pomyłka, może to pycha, ale mam.

H.Z.: Godne pozazdroszczenia. Ja nie mam. Przeżyłam życie w nadziei, że taką całość złożę. Ale w sposób pewny doświadczałam jej tylko w bardzo wczesnej młodości, podczas wojny i okupacji, kiedy patrząc na ludobójstwo, na straszne rzeczy, nie miałam żadnych wątpliwości, że to tylko taka groźna fala, piana, natomiast prawdziwy nurt historii

i prawdziwe wartości ludzkie są nienaruszalne przez takie absurdy jak faszyzm.

T.S.: Są! Tak właśnie. Faszyzmy się zmieniają, zostają pokonane, a wartości trwają. I rosną.

H.Z.: Ciągnie przecież pana w różne, często sprzeczne strony, a jednak dokonał pan wyboru i ma pan poczucie słuszności.

T.S.: Tak. Nie takie do końca i nie w każdej chwili, ale mam. Doszedłem do tego chyba przez pisanie. Dla mnie pisanie jest jedyną rzeczą, która porządkuje moje myślenie. Myślę za szybko, muszę hamować, żeby dojść do słowa, jak pani mówi, żeby zamknąć je w zdania, w jakiejś całości.

H.Z.: Myśli pan w swoich książkach równoważnikami zdań, pojedynczymi słowami, ten pośpiech widać. Chciałabym jeszcze zapytać o osobowość zbiorową: co z naszą schizofrenią narodową? Jesteśmy całością tak podzieloną, aż ogarnia śmiech i trwoga. Pan wciąż wspomina o naszej wspólnotce, a jedni drugim nie dajemy dojść do słowa, nasza wzajemna nietolerancja jest ogromna, czy jesteśmy krajem fanatyków?

T.S.: Oduczylismy się zaufania, wiary w dobrą wolę. Może warunki społeczne są takie, że właśnie fanatyczne konstrukcje psychiczne wpływają, a inne milkną? *Pustynią* naraziłem się i jednej, i drugiej stronie. Teraz znów się narażam mówiąc, że głupota fanatyzmu zdarza się po obu stronach. Ale to pewnie odpłynie z czasem i przyjdą do głosu ludzie bardziej otwarci. W mojej pracy zawodowej nie spotykam się aż z takim odseparowaniem stron, bo praca wymaga kontaktu, nie da się go ominąć.

H.Z.: A w pracy literackiej?

T.S.: Nie stykam się z tym środowiskiem, nie jest mi to potrzebne, żyję na uboczu. Ale podam pani pewien przykład budujący. Moim promotorem literackim, orędownikiem, był dyrektor Łukasz Szymański z „Iskier”, syn Edwarda Szymańskiego, lewicowego poety, sam zaangażo-

wany komunista. No, a ja zdecydowany chrześcijanin. W naszych dyskusjach światopoglądowych nigdy nie mogliśmy dojść do zgody, ale rozmawialiśmy godzinami. Było to dla mnie ważne. On pomógł mi bardzo przy wydaniu *Pustyni*.

H.Z.: Nie zetknęłam się w ostatnich latach z książką, która ujawniałaby tak wnikliwie jak *Pustynia* istotę naszego obecnego życia. Nie chodzi mi tylko o sferę pracy, ale o całość stosunków międzyludzkich. Jest to m.in. antyprodukcyjniak.

T.S.: To jest produkcyjniak!

H.Z.: Pan odsłania naszą niemożność we wszelkich zakresach: produkcyjną, organizacyjną, indywidualną, zbiorową. Główny bohater nie jest w stanie zrealizować własnej osobowości, wciąż sobie samemu zaprzecza. Pokazał pan to wszystko poprzez mnóstwo drobiazgów, konkretów, choć tytuł symboliczny: *Pustynia*.

T.S.: To wcale nie jest taka rozpaczliwa książka, jak się nieraz wydaje, jak bywa odbierana. Mój bohater po każdym ciosie podnosi się, wciąż coś zaczyna, nie rezygnuje. Proszę pani, rzeczywistość była gorsza niż mój książkowy obraz. Na papierze wszystko wygląda drastyczniej, więc niektóre rzeczy opuszczałem. Moją intencją było stonowanie, bo gdybym opisał wszystko jak było, do końca, to byłby taki naturalizm kłoczny, że tak powiem.

H.Z.: A i tak o to zatraća chwilami.

T.S.: Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

H.Z.: Zapis faktów, a także języka potocznego jest doprowadzony do maksimum, do groteskowego zagęszczenia. Chociaż niekiedy widać, że pan jakby się cofa.

T.S.: Ja cofnąłem się o trzysta stron, muszę się pani przyznać. 286 stron wyrzuciłem.

H.Z.: Czemu pan to zrobił?

T.S.: Za radą mojej redaktorki, pani Marii Jentys, wyrzuciłem niektóre gładzenia, a także całe sceny. Było ich za dużo, w dodatku za bardzo osobistych. Tę książkę napisałem dlatego, że rano — jak mój bohater — rzeczywiście nie mogłem wstać z łóżka. Mówiłem do żony: „Cześć, Zofia, idę znowu na tę katorgę.” Powieść, nawet po tych skrótach, została bardzo osobista. Czy brak w niej diagnozy? Po pierwsze: mój bohater i również ja dopiero budowaliśmy sobie obraz rzeczywistości, daleko nam było do diagnozy. Na prywatny użytek próbuję sobie diagnozować dzisiaj, ale może to jeszcze za wcześnie. Muszę się pani przyznać, że łatwiej mi coś wymyślić na ogólny temat rozwoju ludzkości, niż skonkretyzować sąd o naszej, tutejszej, obecnej sytuacji. I kiedy pani przypiera mnie do muru, czuję, że mam tylko mgliste wyobrażenia. Wiem, że nasze życie nie jest do końca prawdziwe, autentyczne i nie jest to nasza wina. Naszą winą jednak jest to, że sami także przykładamy rękę do naszej nieautentyczności. Sądzę, że mogłyby w tej chwili zaniknąć przyczyny zewnętrzne, a sprawy potoczyłyby się dalej tym torem. Pozytywne jest to, że chyba uświadamiamy sobie ten stan, to zło właśnie.

H.Z.: W *Pustyni* ludzie działają tak, jakby wszyscy byli winni, tylko nie oni. Na wszystkich szczeblach, we wszystkich odcieniach politycznych.

T.S.: Główny rys tamtego czasu był właśnie taki. Szukaliśmy winnych poza sobą. Ale widzę w codziennym doświadczeniu, jak ludzie zaczynają sobie uświadamiać, że jesteśmy zdemoralizowani. Już to jest jakąś nadzieją.

H.Z.: W *Pustyni* człowiekiem, który wie, że jest nieautentyczny, że kluczy, ślizga się, przelewa jak ameba — jest Stefan Zandecki. Cała reszta zaś czuje się jak Święci Młodziankowie.

T.S.: Stefan zaczyna sobie uświadamiać, że tragedią jego pokolenia jest stanie przed wyborem: w tych konkretnych warunkach można albo zachować siebie w pełni moralnym, czystym i nie robić nic, albo tracąc częściowo siebie — coś robić. Jest to również moja tragedia, na co dzień. Nie pisarza, ale Siejaka — głównego mechanika. Kiedy jest się bardziej zdrajcą siebie i swojej zbiorowości, w której z tych dwóch

możliwości? — nie potrafię na to jednoznacznie odpowiedzieć. A nie ma sytuacji z wyjściem dobrym! Taki jest dzisiejszy polski Hamlet.

H.Z.: W którą stronę toczy się życie głównego bohatera *Pustyni*?

T.S.: Mogę mówić tylko na moim i mojego pokolenia przykładzie — bo to jest książka pokoleniowa, chciałbym, żeby taka była. Otóż ja ciągle, jeszcze dzisiaj znajduję się w takiej sytuacji jak Stefan Zandeki. Wprawdzie mnie na taczce nie wywieziono, ale też mnie nie było stać na taki gest jak jego — a szkoda. Ale każdego dnia bywam w takiej sytuacji, że muszę z siebie, z mojego poczucia moralności zrezygnować: tu muszę dać łapówkę, tam muszę skłamać — po to, żebym mógł funkcjonować, cokolwiek załatwić, żebym mógł budować. Chociaż ta budowa idzie tak ślamazarnie, patrząc z lotu ptaka: rozkopy i budki dostawiane do budek. Ale ja wiem, że to jednak rośnie, że tysiące drzew tam posadziliśmy, że hala z suwnicą stoi, że te oczyszczalnie mogą jednak ruszać się, pracować itd. I wiem również, że w traceniu siebie nie mogę iść do końca, nie mogę iść za daleko. Wciąż pytam, my pytamy: gdzie jest granica? Najgorsze jest to, że jak się raz zrezygnuje, potem jakby nie było odwrotu. Odwrotem jest jedynie zaprzestanie działania, a przecież to także jest zdrada, to jest dezercja. I dlatego piszę *Dezertera* jako następną książkę, nawet przywożem ze sobą kawałek. Jest to historia człowieka, który naprawdę nie może wstać z łóżka, nie może nawet otworzyć oczu, jest psychicznie wykończony. Tutaj zresztą dezertują wszyscy: trzech młodych naukowców, stary profesor i stary palacz w kotłowni. Palacz jest dezertorem z lat pięćdziesiątych, bo cztery lata przesiedział w więzieniu i zrezygnował z pracy naukowej (a był elektronikiem), zrezygnował z nienawiści. Profesor, stary żydowski profesor, po roku 1956 wrócił z Zachodu, żeby Polskę budować, ale budował tylko do 1981 (!). Jeden z moich młodych naukowców w latach osiemdziesiątych, po wyjściu z internowania, wyjedzie do Francji. Drugi pójdzie pracować do firmy polonijnej albo będzie taksówkarzem. Tylko trzeci zostanie przy pracy naukowej, żeby dokończyć zaczęta przez nich rzecz, ale tak nim zakręca, że cały ich materiał przekażą do WAT-u. To go całkowicie załamie, więc zwieje w góry, do bacówki. Z gór zresztą także wcześniej zwał, bo nagle przestał wierzyć w sens wspinaczek, które przedtem uwielbiał. Konstruując jego psychikę, zbudowałem go z samych ucie-

czek. Uciekał zawsze, od wszystkiego, od każdej trudnej sytuacji, nawet od trudności wychowawczych z własnym synem. Pokazuję, że najgorzej zacząć, potem wciąż się ucieka, wciąż się cofa. Doznałem tego i nie chciałbym uciekać dalej. Wycofałem się na przykład jako dyrektor i to też była ucieczka, słabość psychiczna. Nie wytrzymałem różnych spraw „pustynnych”. Uważam, że istnieje obowiązek aktywności, obowiązek tworzenia — powtarzam to zresztą za Teilhardem de Chardin. Z całym, biologicznym wręcz przekonaniem.

H.Z.: Jak pan to wszystko zdąży zrobić, doba jest na wszystkie pana prace za krótką — czy pan sypia, czy pisuje po nocach?

T.S.: Sypiam, oczywiście. No, życia towarzyskiego to już nie mam kiedy prowadzić. Pracuję tak: wstaję za piętnaście szósta, szykuję wszystkim śniadanie i lecę do pracy. Mam blisko, więc przed siódmą tam jestem. Wracam o piętnastej piętnaście, obiad, potem mycie naczyń, sprzątanie po obiedzie — to mój obowiązek, pomaga mi „dyżurny” dzieciak. Pół godziny drzemki, takie przymknięcie oczu. Trzy razy w tygodniu na trening, a pozostałe dni: działka, prace domowe, korespondencja. Po kolacji, o ósmej — w pół do dziewiątej siadam do pisania — do dziesiątej lub jedenastej, zależnie, jak mi idzie. Systematycznie, codziennie. Inaczej bym się rozkleił. Jak jestem bardzo przemęczony, to chociaż dla pozorów wezmę pióro do ręki, coś tam poprawię, przestawię, skreślę. No, zwierzyłem się z moich tajemnic codziennych.

H.Z.: To wymaga niezwyklej systematyczności.

T.S.: Po pierwsze jestem spod znaku Panny, czyli systematyczny, dokładny, pedantyczny. Po drugie: jestem poznaniakiem. Po trzecie: od sześciuset lat jestem ze strony matki chłopem spod Środy Wielkopolskiej. Siedzieli w jednej parafii, pod jednym nazwiskiem. Pewnie po nich mam trochę wytrzymałości.

H.Z.: W *Pustyni* język potoczny jest niby bardzo wiernie przekazany, stosuje pan nawet zapis fonetyczny dla jego przybliżenia. Literackim efektem tego pomysłu jest komediowość. W końcu pomysł dominuje tu nad dokumentem językowym, komediowość jest widoczna bardziej niż autentyk.

T.S.: Poprawiając *Pustynię*, wykreślałem niektóre komediowe zwroty, nadmierne ich zagęszczenia. Komediowość języka nie jest moim pomysłem, ale obserwowanym zjawiskiem.

H.Z.: No tak, ale każdy zapis już jest jakimś przetworzeniem. Chodzi mi nie tyle o słowną czy frazeologiczną komediowość, ale również o sposoby jej pisarskiego podkreślenia. Na przykład ciągle pojawiające się w *Pustyni* szydercze „Ha, ha, ha!” Ten śmieszek towarzyszy naszemu życiu, kiedy mówimy, niezupełnie wierzymy w powagę, czy też w prawdę tego, co mówimy, jakbyśmy wciąż byli na granicy kłamstwa lub żartu, zgrywy. Pan u s ł y s z a ł ó w narodowy chichot i dał mu pisarski wyraz — dla mnie to jedna z rewelacji książki. Jest tu sto odcieni i funkcji śmieszku: służalczy, podlizujący się, kpiący, chamski, nienawistny. Jeśli chodzi zaś o zapis mowy potocznej, to martwi mnie, że w *Pustyni* niekiedy wszyscy mówią jednakowo. Te same zbitki frazeologiczne wciąż występują u różnych osób.

T.S.: W *Pustyni* nie stosuję żadnego opisu werbalnego żadnej postaci, stosuję opis poprzez język lub sytuację, lub odczucia bohatera. Zwrot „w tym momencie chwili” jest na przykład zwrotem autentycznym, używanym przez jednego ze znanych mi ludzi. Wszyscy jego podwładni, im niżej stoją, tym gorliwiej mówią „w tym momencie chwili” — to jest naśladowczo-służalcze, taka gogolowska cecha, bo Gogol ją genialnie pokazał. *Pustynia* jest zamknięta w ramy dwóch zebrań instrukcyjnych w KW, odległych od siebie zaledwie o tydzień. Na pierwszym wszyscy powtarzają za przewodniczącym „w tym momencie chwili”, na drugim jest inny przewodniczący (zmieniali się wówczas szybko), który mówi „bynajmniej na dziś towarzysze” i za nim wszyscy po kolei zaczynają używać tego zwrotu. Stosuję ten pomysł celowo, jako figurę literacką, odbijającą służalczą identyfikację z kierownikiem.

H.Z.: Nie odczytałam tego w ten sposób. Nie zauważyłam chwytu.

T.S.: Ludzie w *Pustyni* nie mówią tym samym językiem. Mój bohater potrafi mówić językiem fabrycznym, chamskim, wiejskim i czysto literackim, a także lirycznym. Właściwie każdy język zapisany, także ten potoczny, jest literacki.

H.Z.: Ale kiedy pana bohater mówi tu liryczno-refleksyjnym językiem...

T.S.: ... to się rozmazuje?

H.Z.: Właśnie. Coś w tym jest. Kiedy wylatuje z dyrekcji i dotyka dębu, żeby poczuć rzeczywistość pod palcami, żeby nie zwariować — jest to wspaniały liryzm sytuacyjny, bez komentarza. Natomiast, kiedy pana bohater daje wyraz poruszeniom swej duszy, słów bywa za dużo. Grozi to wielosłowiem i sentymentalnym banałem. Czy ma pan poczucie takiego zagrożenia, jeśli chodzi o pana pisarstwo?

T.S.: Mam poczucie kilku zagrożeń, jednym z nich jest to, o czym pani mówi, bo ja taki jestem.

H.Z.: Za duże potoki słów, będące odzwierciedleniem potoków emocjonalno-psychicznych.

T.S.: To jest moje niebezpieczeństwo wewnętrzne, wiem o tym. A jeszcze bardziej boję się przegadania, jestem niesamowitym gadułą. Widzę też groźbę pychy.

H.Z.: Co pan mówi, przecież pan taki skromny człowiek.

T.S.: Ja — skromny? Pani Heleno... Jestem pyszałkiem z urodzenia. Co prawda każde pisanie jest trochę podyktowane pychą, ale u mnie za wiele tego. Zdarza mi się pisać z pozycji: jak ja to wszystko widzę, rozumiem, jaki ja jestem lepszy. Te fragmenty *Pustyni* przede wszystkim wyrzucałem.

H.Z.: Pan w tej książce wielokrotnie odżegnuje się od takiej „lepszości”. Gdyby pan był tutaj wszechwiedzącym, szlachetnym sędzią, *Pustynia* byłaby nie do zniesienia.

T.S.: Podświadomie ustawiam się na pozycji tego, kto wie lepiej, ma swoją filozofię...

H.Z.: Proszę się nie zdenerwować, ale zapytam: czy zamierza pan obrać karierę „jurodiwego”, nawiedzonego mędrca? To wcale nie jest pyta-

nie szydercze. Myślę, że w naszej polskiej kulturze dwudziestowiecznej mamy sporo intelektualistów wszelkich odmian, zwłaszcza naukowcy specjaliści bardzo się nam rozmnożyli, natomiast „jurodiwych” mędrków jest mało jak na lekarstwo. A może każdej kulturze potrzebni tacy nawiedzeni, zajęci losem ludzkości, szukaniem prawdy? Od kilku pokoleń Gombrowicz wieszczem nam jest, wiemy wszystko o formie, gębie, pupie i drwinie, ale czy w tym kraju nie zmieściłoby się trochę pryncypialnych szaleńców?

T.S.: Ale ja nie mam żadnych zbawczych propozycji, ja tylko chciałbym iść w kierunku, w którym posuwa się rozwój ludzkości. Na przykład chciałbym wziąć udział — i to jest moje pyszałkowane marzenie — w przemianie świadomości z narodowej w globalną.

H.Z.: Świetna propozycja jak na polskie tradycje — przecież pana zjedzą!

T.S.: Już mnie trochę zjedli na pewnym spotkaniu autorskim w Warszawie. Ale myślę, że jednak nie zjedzą.

H.Z.: A nasza nieszczęsna sprawa narodowa?

T.S.: Ona może zostać rozwiązana tylko w kontekście globalnej organizacji społeczeństw. Taka przemiana dokonuje się przecież. Na przykład masowe środki przekazu mają już zakres ogólnoświatowy.

H.Z.: Czy u nas biją jakieś źródła, z których bierze początek ta nowa świadomość?

T.S.: Obracam się wiele wśród młodzieży. Prowadzę klub kulturystyczny, to mi daje wgląd w środowisko. Wiem na pewno, że w tej chwili młodzież gwałtownie poszukuje wartości. Bunt pokolenia nie polega teraz, moim zdaniem, na nihilistycznym zaprzeczeniu, jak to często, także za mojej młodości, bywało. On polega na szukaniu sensu przeciwko bezsensowi. W tym jest nadzieja. Ludziom, którzy mają już ukształtowaną świadomość, trudno jest coś zaproponować, trudno nawet dojść do słowa — wzruszają ramionami i wiedzą swoje. Należy czekać na nowych ludzi. Wiem, że są narkomani, są alkoholicy, nie

zapomniałem o tym, ale to nie oni zadecydują. Zadecydują młodzi, którym o coś chodzi, którzy szukają. Ja w to wierzę i może mam owe przysłowiowe 51 procent racji.

Grudzień 1987